Dodatek do „Gazety Narodowej"

z dnia 9. Października 1898.

List londyński.

(Anglik w teoryi a w praktyce. — Obecny repertuar teatrów londyńskich. — Niedziela na Tamizie).

Dziwnie niejednolitym jest charakter Anglika. Posiada on rysy, z których jeden drugiemu się sprzeciwia. Surowy sędzia nieobyczajności, uważa jednak czasem za rzecz godziwą sympatyzować z tem, co nie może być poczytywane za moralność lub przyzwoitość; daje sobie niekiedy pozór świętoszka, co znowu mu nie przeszkadza, przy sposobności okazać wręcz przeciwne zapatrywania religijne; karci bezwzględnie wadliwości sceny, mimo to daje otwarcie wyraz swemu upodobaniu dla tancerek, które w swoim kuszącym stroju wyprawiają harce na estradzie, odsłaniając cielesne swe wdzięki; zapewnia, że do francuskich sztuk dramatycznych ma wstręt nieprzeparty, ale rozkoszkje się w „Judge of Peace", angielskim wprawdzie utworze, noszącym jednak wyraźne piętno francuszczyzny. Udaje dobrze, że z ciekawością słucha rozpraw politycznych, literackich itp. nadaje zaś rozmowie całkiem odmienny bieg, wtrącając przy pierwszej sposobności uwagę lub pytanie o *cricket*, *tannis*, *polo*, *golf* i t. d. Anglik jest skromny i niewymagający; przedstawienie w Albambre lub Empire, z którego jeden z nas nie śmiać się, ale gniewać musi, się tak jest naiwne, na nim wywiera szczególniejszy urok.

Repertuar teatralny w Londynie w sezonie jesiennym nie może zadowalać smaku znawcy; Irving, Beerbohm, Trec, Forbes Robertson bawią za Londynem, dając gościnne występy — programy zaś wszystkich teatrów londyńskich składają się z samych sztuk banalnych i płytkich operetek, krotochwil ze śpiewem i tańcami, i z takich, które trzymają widza w bezustannem naprężeniu uwagi, tamującem oddech i wywołującem w nim głos współczucia dla jakiejś nieszczęsnej ofiary. Za nadejściem września cały Londyn począł mówić z zapałem, o jakimś wielkim scenicznym utworze, z tłem lokalnem, który jednocześnie na dwóch rywalizujących ze sobą scenach przedstawiony będzie, i w którem homologiczne role, oddane będą aktorom, rywalizującym ze sobą na dwóch różnych scenach o sympatyę publiczności. Utworem tym miał być „The 3 Musketeers", będący przeróbką głośnego romansu Dumasa.

Przeróbki tej dokonał Henry Hamilton, a na przedstawieniu tej „senzacyjnej nowości" byli obecni prawie wszyscy krytycy Londynu. Chociaż rola bohatera Artagnana spoczywała w wytwornych rękach Lewis Wallera, o tym utworze nic dobrego powiedzieć się nie da. Prasa zaś ogólnym chórem powitała ten utwór, jako mający rzetelne zalety, chociaż właściwie dramat ten pełny scen strasznych, mordów i otruć raczej przeraża na scenie niż sprawia pożądany efekt. Ten jeden dramat charakteryzuje już snadnie obecny sezon teatralny londyński. Warto jednak wspomnieć jeszcze o jednym, będącym pod względem istotnej swej treści i scenicznego efektu przeciwieństwem tamtego. Bo jak „The 3 Musketeers" denerwuje i wstrząsa widza okropnością treści, tak ten drugi jest po prostu śmiesznym.

Mowa tu o dramacie „The Thermagant", w którym miłość dowodzi swej mocy na opornej Katarzynie Modell, a wszystkie osoby bez wyjątku najtrywialniejsze niedorzeczności i głupstwa deklamują z tak wysokim patosem, jak gdyby chodziło o reprodukcyę „Hamleta" lub „Macbetha." Miss Olga Nethersole, znana utalentowana aktorka, która we wszystkich nowoczesnych rolach święci prawdziwe tryumfy, w roli „Termagant" dowiodła, że nawet w przedstawieniu nienaturalności i w wykonywaniu najpocieszniejszych ruchów ciała jest mistrzynią. I ta także sztuka przyjętą została przez prasę z wielkiemi pochwałami. Tylko jeden krytyk wyraził o niej sąd odmienny od ogólnego, potępiając ją bez pardonu.

Z innych sztuk, które obecnie grają w Londynie, wiele już swoim tytułem świadczą o treści swojej, i tak: „Too much Johnson" jest sztuką, przedstawiającą głupotę Amerykanina, „Little Miss Nobody" przedstawia sukces atentatu za pomocą bomby, wykonanego wpośród kupletów i tańców, o historyi detektywa „The great ruby" prasa pisze łokciowe artykuły, a „Greck stare", pewnego rodzaju opereta, stojąca niżej od pokrewnej jej „Geisha" itp. Anglik zachwyca się tymi wszystkimi utworami scenicznymi i rusza z podziwu ramionami, gdy obcy objawia z nich swoje niezadowolenie. Co się zaś tyczy dekoracyj i szczegółów przedstawienia czysto technicznej ustawy, nie można żadnej z nich odmówić uznania.

Do osobliwości niedzielnych w Londynie należą przejażdżki mieszkańców różnego rodzaju łódkami i tratwami po Tamizie. Tysiące ludzi spieszą na tramwaje, które dowożą ich do brzegu rzeki. Tu, kto nie posiada własnej łodzi, wynajmuje ją sobie na cały dzień i zabrawszy ze sobą żywność, książki do czytania i wygodne poduszeczki, wiosłuje tak długo, aż wynalazłszy jakieś urocze, cieniste miejsce na brzegu, wysiada i całemi godzinami spogląda bezczynnie na powierzchnię wody, po której snują się długie szeregi łódek z amatorami sportu wodnego. W niedzielę po południu przeciskają się przez falangę tych łódek, małe parowce, dążące do idylicznego Richmond lub do uroczego Hampton Court, gdzie znajduje się pałac, będący siedzibą starych panien dworu królowej angielskiej. Pałac ten z powodu sławnej galeryi obrazów i starej winnicy, z której winogrona królowa przeznacza dla szpitali, przez wielu ludzi chętnie bywa odwiedzany.

Indywidualnie angielską osobliwością jest też t. zw. „house boats", okręty z jasno powleczonemi ścianami, które zarzucają na miesiące całe kotwice na Tamizie w miejscach z najpiękniejszymi widokami i całe obwieszone są kwieciem. Okręty te mają 2 piętra: w parterze są pokoje mieszkalne małe, ale z wyrafinowanym zbytkiem urządzone, na piewszem piętrze, ozdobionem kwieciem są eleganckie urządzenia, pasażerzy przebywają niemal przez dzień cały. Okazalsze i piękniejsze z nich mają swoje kuchnie na odrębnej łódce. Wiktuały i wszystkie potrzeby przysyłają z samego Londynu, a listonosz codziennie dostawia listy i posyłki aż na pokład. Każdy taki statek ma swoje łódki mniejsze z żaglami i wiosłami, służące do komunikacyi mieszkańców z brzegiem rzeki.

Ciekawszą zaś jest rzeczą, w jaki sposób mniej zamożni urządzają sobie pobyt na Tamizie. Oto — na brzegu rzeki są liczne, małe namioty, będące zarazem sypialnią, jadalnią i wszystkiem, a w nich mieszkają całemi miesiącami ci ludzie, którym środki finansowe nie pozwalają na wykwintniejsze uwygodnienie pobytu na Tamizie. Przez dzień wylegują się w wygodnych krzesłach w ogródkach sięgających aż do rzeki, przyjmują tam przyjaciół i znajomych z miasta, urządzają zabawy wodne i bawią się wesoło, zapominając o troskach życia.

Jeszcze inny sposób przyjemnego spędzania niedzieli dla mieszkańców Londynu jest udawanie się do jednego z licznych miejsc kąpielowych, w pobliżu Londynu leżących, dokąd dostają się po dwugodzinnej jeździe koleją żelazną (czy rzeczywiście po dwóch godzinach jazdy przybywają do celu — to pytanie; przynajmniej plan jazdy to przyrzeka). Największego uroku dodaje tym miejscom kąpielowym położenie ich na wysokich skałach kredowych, właściwych wybrzeżu Anglii. Wszystko, co mogłoby tam być ciężarem, nawet dzieci, zostawia się w domu, a mąż i żona używają kąpieli morskiej, a potem oddają się wygodnej sjeście na brzegu.

Lecz nietylko zabawie i radości poświęcona jest niedziela w Londynie. Nie zapomina się także o różnego rodzaju praktykach religijnych i o pokrzepieniu ducha modlitwą. Nikt, chociażby był jak spragniony, nie dostanie na dworcach kolejowych napitku, tylko podróżnym, którzy wylegitymują się biletem jazdy nie odmawia się go. Zakłady, w których sprzedają herbatę dla ludu, są przez niedzielę zamknięte. Muzyka milknie, tylko orkiestra t. zw. „Armii zbawienia" przeciąga w niedzielę przez ulice, a poszczególni członkowie „Armii zbawienia", nawet kobiety, na rogach ulic wygłaszają kazania, pouczające i zachęcające do poprawy ludzi, nie przestrzegających sumiennie przepisów wiary. *E. R.*

Polonium i Coronium.

Przed rokiem, kiedy profesor Roentgen odkrył, dzięki szczęśliwemu przypadkowi, promienie X, inni uczeni rzucili się do poszukiwania rozmaitych źródeł tychże.

Znakomity chemik H. Becquerel przekonał się, że metal uran, podobnie jak ampułka Crookesa, wysyła dziwne i bardzo zbliżone do promieni Roentgena drgania, działające na płytę fotograficzną, przenikające ciała nieprzezroczyste dla zwyczajnego światła, czyniące powietrze dobrym przewodnikiem elektryczności etc.

Kwestya ta zaciekawiła wielu badaczy, a pomiędzy nimi p. Schmidta i panią Curie (Skłodowską z domu).

Poszukiwania doprowadziły do wniosku, że nietylko ów rzadki metal — uran wydaje tajemnicze promienie, ale także tor i jego związki. Zwłaszcza pewien minerał, zawierający uran, t. zw. pech blenda i chalkolit, posiadają tę interesującą własność jeszcze w wyższym stopniu od czystego uranu.

Czegoż to dowodziło?

Oto nastręczało przypuszczenia, że owe minerały mają w swym składzie jakieś ciało nieznane, wysyłające promienie obficiej jeszcze od uranu.

Kierując się temi własnościami poszukiwanego ciała, pani Skłodowska-Curie zdołała wreszcie otrzymać nieznany dotychczas pierwiastek, zbliżony własnościami do bizmutu i będący 400 razy obfitszem źródłem tajemniczych promieni, aniżeli uran.

Pierwiastek ten otrzymał nazwę „polonium" i pomnożył coraz dłuższą listę elementów chemicznych.

Jeżeli promienie Brcquerela są, jak przypuszczamy, drganiami, podobnemi do drgań eteru, a więc do światła, ciepła i elektryczności, czyli, mówiąc ogólnie, pewną formą energii, to odkrycie własności uranu i „polonium" daje nam wiele do myślenia.

Energii nie można z niczego stworzyć, to znaczy, że z kawałka węgla, kwarty nafty, możemy otrzymać ściśle przez naukę określoną ilość ciepła i światła.

Ta sama zasada musi znajdować zastosowanie do „polonium" i wytwarzanych przez nie promieni.

Dochodzimy więc do ważnych wniosków, że albo promieni Becquerela są cząstkami materyi w ruchu, jak niektórzy utrzymują odnośnie do promieni X, albo też „polonium" służy tylko za narzędzie, za pośrednika do zmiany ciepła, światła, energii chemicznej lub jakiej innej, w drgania cząstek Becquerela.

Światło transformowane w ten sposób może pochodzić od słońca, ciepło od otoczenia.

W pierwszym przypadku uran, tor i polonium powinny utracać po pewnym czasie swe własności, w drugim — nie.

Bądź co bądź, odkrycie Curie i Schmidta ma duże znaczenie i dla praktyki. Przecież lepiejby było kupić sobie dla doświadczeń kawałek drogiego choćby metalu, któryby starczył do kilkuset zdjęć fotograficznych, niźli sprawiać sobie rury Crookesa, cewki i baterye, które wymagają trudzącej obsługi.

Chemicy widocznie postanowili nam dowieść, że liczba pierwiastków jest niesłychanie wielką, bo od niedawna co miesiąc dowiadujemy się o nowem odkryciu tego rodzaju.

W powietrzu znaleziono, oprócz tlenu i azotu, argon, krypton, neon, metargon, o których przed kilku laty nic nie słyszeliśmy.

Teraz jeszcze ciekawszy fakt mamy do zanotowania.

Rozbiór widmowy pozwolił nam przez rozpatrywanie widma skonstatować obecność rozmaitych ziemskich ciał na słońcu.

Pomiędzy pierwiastkami, dostrzeżonemi w rozpalonej atmosferze naszej gwiazdy dziennej, znajdowało się jednak parę nieznanych zupełnie na ziemi. Do rzędu takich „nieziemskich" elementów zaliczono helium i coronium. Aliści przekonano się niedawno, że helium znajduje się w pewnych rzadkich minerałach, zdołano je wyosobnić i zbadać jego własności.

Świeżo profesor Nasini z Padwy doniósł francuskiej akademii, iż udało mu się skonstatować obecnie coronium w gazach, wydobywających się z łona ziemi. Uczony włoski od dość dawna badał skład wyziewów w Solfatara, w Psiej grocie (Grotta del cane) w Grocie Amoniakalnej (Grotta ammoniacale) i Wezuwiuszu.

Widmo gazów wydobywających się w Solfatara zawiera świetlaną linię, odpowiadającą linii, przypisywanej w widmie słońca pierwiastkowi coronium, które wedle profesora Nasini jest gazem jeszcze lżejszym od wodoru, a może najlżejszym z pierwiastków.

Co godniejsza uwagi, to fakt, że uczony włoski, na zasadzie porównywania widma gazów, któremi zionie Wezuwiusz, doszedł do wniosku, że w tej mięszaninie znajduje się jeszcze kilka ciał prostych, zupełnie nieznanych.

Kiedyż nakoniec dowiemy się o prawdziwej liczbie pierwiastków? W każdym razie nie prędko. Chemicy mają jeszcze dużo do roboty; a trzeba im przyznać, że nie ustają w poszukiwaniach.

Odkrycie Nasiniego utwierdza nas w bardzo rozległym i wielkiej doniosłości naukowej poglądzie: że wszechświat wypełnia materya jednakowa; te same ciała, których dotykamy się na naszej planecie, wchodzą także w skład słońca, odległego od nas na 20,000.000 mil, a nawet znajdują się na gwiazdach, skąd światło dochodzi do nas zaledwie po upływie dziesiątków i setek lat, choć ubiega po 70 tys. mil na sekundę.

Women's Institute.

Wśród mnóstwa związków i stowarzyszeń kobiecych na świecie, najsympatyczniejszym i najpożyteczniejszym wydaje się t. zw. „Womens Institute" czyli instytut kobiecy w Londynie. Założycielką jego jest córka niemieckiego emigranta, który w Anglii doszedł do wielkiego znaczenia i majątku. Zaślubiła ona pochodzącego z rodziny walijskiej posła do izby gmin Wynforda Philippsa i z pomocą dzielnego męża założyła związek dla podniesienia poziomu umysłowego wśród kobiet i dla ułatwienia im karyery w coraz cięższej walce o byt. Na czele statutów powiedziano wyraźnie, że w przyjmowaniu członków nie odgrywają żadnej roli przekonania polityczne i ta bezstronność właśnie wyróżnia „Womens Institute" z ogromnej liczby stowarzyszeń angielskich, które zawsze mają mniej lub więcej określoną barwę polityczną, żeby tylko wymienić konserwatywną „ligę dzwonków" lub „związek Gladstonowskich kobiet", które słowem, piórem i czynem podczas wyborów staczają z sobą najzaciętsze boje

Zapalająca dziś wszystkie umysły kobiece w Anglii kwestya dopuszczenia płci słabej do urny wyborczej, jest zupełnie wykluczoną ze stowarzyszenia „Womens Institute". Znajdujemy tam wszystkie obozy. Toryski zasiadają obok liberalnych kobiet, apostołki równouprawnienia obok przeciwniczek emancypacyi. Sama założycielka jest jedną z najgorliwszych pionierek praw kobiecych. Jej płomienne mowy znane są w całej Anglii, meetingi przez nią zwoływane cieszą się wielką popularnością, ale wszystko to zostaje za drzwiami, gdy pani Philipps wstępuje w bramy instytutu.

Biblioteka stowarzyszenia zawiera kilka tysięcy wybornych książek. Codziennie odbywają się odczyty popularne o kwestyach administracyi, o prawie, hygienie, ekonomii, literaturze itp. Po za tem urządzono w instytucie kursa stenografii, buchalteryi, korespondencyi, konwersacyi francuskiej i niemieckiej, a wszystko to otrzymuje się za jedną gwineę (około 10 zł.) składki rocznej. Ubogie kobiety nie płacą ani grosza.

Oprócz powyżej określonych kursów i prelekcyj instytut urządza dla członków swoich bezpłatne koncerty, oraz lekcye gimnastyki, pływania, wiosłowania, jazdy na rowerze i koniu, szermierki, lawn tennisa i t. d. Wszystko to za jedną gwineę, a wszystko to stanowi doskonałą szkołę dla umysłowego i fizycznego rozwoju kobiety.

Instytut zaprowadził zresztą na wielką skalę biuro wywiadowcze, które dostarcza członkom wszelkich informacyj o wakujących posadach, a w pewnych okolicznościach składa nawet kaucye potrzebne, gdy stosunki tego niezbędnie wymagają. Stowarzyszenie dostarcza także bezpłatnie inteligentnych kobiet w charakterze ciceronów, gdy którakolwiek z dam związkowych, mieszkających na prowincyi, zapragnie zwiedzić osobliwości Londynu.

Rada administracyjna instytutu składa się z 50 kobiet, zasłużonych około sprawy kobiecej i rada ta wydaje obecnie księgę informacyjną o wszystkich zawodach, stojących dla kobiet otworem. Są tam wskazówki o niezbędnych kwalifikacyach, o honoraryach, o długości dnia roboczego, są nazwiska firm wybitniejszych, zatrudniających kobiety, są wiadomości o pismach, w których różne kupcy zamieszczają anonsy o posadach, są adresy uczciwych ajentów, towarzystw dobroczynności i tanich pensyonatów, gdzie kobieta poszukująca pracy, za małe pieniądze utrzymać się może. Jednem słowem „Womens Institute" jest szkołą, miejscem zabawy, zakładem filantropijnym i biurem, w którem kobiety pracujące znajdują pomoc, radę i opiekę.

Sztuki piękne.

* **Teatr, muzyka i śpiew we Lwowie.** P. Kazimierz Skrzyński w obszernym fejletonie „Ze Lwowa", pomieszczonym w *Czasie*, pisze między innemi:

Dyrekcya teatru lwowskiego zapowiada cały długi szereg nowości polskich i tłomaczonych. Wnosząc jednak z obecnej sytuacyi teatralnej można sądzić, że główny punkt ciężkości kampanii spocznie w operetce i w operze, które to działy stanowią najsilniejszą zresztą i świetną stronę obecnej imprezy. Wogóle podczas dwóch lat, dzielących nas jeszcze od otwarcia nowego wspaniałego gmachu, nie można spodziewać się radykalnej jakiejś zmiany w teatralnych stosunkach; pójdą one utartą, dotąd zwykłą koleją. Ufajmy jednak, że w nowym teatrze otworzy się również i nowa epoka dla sztuki polskiej. Już dzisiaj należałoby nad tem pomyśleć. Istnieją różne systemy prowadzenia sceny. Na posiedzeniach ankiety, zwołanej przed kilku laty przez Wydział krajowy, w której i piszący brał udział, uchwalono wniosek, aby teatr został „ukrajowiony", ale już wtedy uważano tę myśl raczej za platoniczne życzenie, nie mające przyszłości. Drugi system polega na prowadzeniu teatru przez miasto we własnym zarządzie. Nie pragnąłbym, przyznaję, w interesie sztuki, widzieć na czele teatru stu radców miejskich, z których każdy uważałby się, jeżeli nie za dyrektora, to przynajmniej za uprawnionego cenzora kierownictwa! Jestem wielkim i zatwardziałym zwolennikiem parlamentaryzmu i swobód konstytucyjnych, ale nie w teatrze; tu trzeba silnej dłoni i nieugiętej woli.

Pozostaje zatem prywatne przedsiębiorstwo, poparte hojną subwencyą krajową i miejską. Trudność jednak leży w pozyskaniu odpowiedniego człowieka, posiadającego wszystkie wymogi, mianowicie literackie i artystyczne wykształcenie, a przytem i środki materyalne; ten ostatni warunek stanowi szkopuł niemały. Przedsiębiorstwo teatru lwowskiego jest interesem dość ryzykownym, i nie każdy, choćby był uzdolniony, podejmie się go tak łatwo i z ochotą. Czyżby zatem nie dało się, za przykładem Czechów, stworzyć rodzaj teatralnego konsorcyum, t. j. stowarzyszenia sceny narodowej, które złożywszy odpowiedni kapitał, będzie tworzyć przy dyrekcyi radę nadzorczą, administracyjną. Wtedy dyrektor, uwolniony od kłopotów finansowych, mógłby cały swój czas poświęcić artystycznemu kierownictwu. Są to tylko ogólne zarysy projektu — rzucam tę myśl w nadziei, że znajdzie ona posłuch i wywoła dyskusyę. Rzecz to nie tak trudna do przeprowadzenia; ja sam znam kilku ludzi dobrej woli, zajmujących wybitne stanowisko w naszem społeczeństwie, gotowych do przystąpienia do podobnego związku, któryby stał się niewzruszoną podstawą materyalną i moralną przyszłego teatru we Lwowie.

Gród nasz jest, jak wiadomo, bardzo muzykalny. Ztąd wyszło liczne grono śpiewaczek i śpiewaków, będących ozdobą scen zagranicznych. Wystarczy wymienić przedewszystkiem: Kochańską, a potem Hellerównę, Beethównę, Abendrotównę, Myszugę, Floryańskiego i t. d. Teatr na przedstawieniach opery zawsze jest pełny, jak również i sale koncertowe. Mamy we Lwowie kilka instytucyj, poświęconych muzyce, jak galicyjskie Towarzystwo muzyczne, dalej szkoła fortepianowa Marka, stowarzyszenie śpiewackie

„Lutnia" i „Echo", którego dyrektorem jest nasz nieoceniony Galt, a pełnym energii prezesem Laskownicki. Towarzystwo muzyczne założone przed laty kilkudziesięciu, rozwija się pomyślnie pod dyrekcyą zasłużonego p. Schwartza. Prócz Towarzystwa istnieje także konserwatoryum, posiadające wybitne siły nauczycielskie, jak pp. Sładka, Wolfstala, Neuhausera i innych. Sekretarzem Towarzystwa i zarazem profesorem historyi muzyki jest p. Niewiadomski, znany kompozytor i recenzent aż trzech dzienników.

Do niedawna jeszcze szkoła ta miała szczęście posiadać takiego artystę, jak p. Henryk Melcer, laureata konkursu berlińskiego. Niestety po dwóch latach pobytu we Lwowie, p. Melcer, zrażony niektórymi lokalnymi stosunkami, a pragnąc przytem poświęcić się wyłącznie kompozycyi, przeniósł się na stały pobyt do Wiednia. Miejsce jego w konserwatoryum zajął p. Kurtz z Pragi, o którym znawcy wyrażają się nader korzystnie i pochlebnie; ale zawsze lepszy swój od obcego. Odwrotną stroną medalu w lwowskiem konserwatoryum jest nauka śpiewu.

Dawniej Lwów chlubił się znakomitą parą nauczycieli pp. Souvestre, ale ci mieszkają już od czasu dłuższego w Dreźnie; miejsce ich nie zostało zajęte; jest wprawdzie pani Kamilowa, dobra śpiewaczka operowa, udzielająca prywatnie lekcyi śpiewu, ale w samem konserwatoryum dział wokalny jest bardzo zaniedbany.

Oby wydział, słuchając życzeń ogółu, postarał się o nauczyciela, stojącego na wysokości zadania i instytucyi. Skoro mowa o stosunkach muzykalnych należy tu wspomnieć także p. Pollaka, kompozytora pełnego talentu, świetnego wykonawcę i dobrego profesora.

Byłoby niesprawiedliwie, gdyby w tym pobieżnym przeglądzie artystów, którymi słusznie szczyci się nasze miasto, pominięto milczeniem doborowe grono amatorów. Powszechnie wiadomo, że obecny prezydent sądu wyższego p. Aleksander Tchórznicki, nietylko hołduje surowej bogini Temidzie, ale równocześnie uprawia z powodzeniem muzykę, grając prawdziwie koncertowo na fortepianie; w salonie pp. Tchórznickich gromadzą się od czasu do czasu talenta muzykalne lwowskie ku wielkiej radości uczestników tych miłych wieczorków.

Również i inny wysoki dygnitarz państwowy, pan namiestnik Galicyi, zawołanym i wykwintnym jest melomanem; nie zdradzę chyba tajemnicy urzędowej, gdy powiem, że hr. Piniński w chwilach wolnych od urzędowych zajęć z powodzeniem oddaje się kompozycyi. Na tem nie koniec. I nasz lord major p. Małachowski należy do lubowników muzyki. W obec owego zatem wspólnego zamiłowania sztuki, jakie odznacza naczelników naszych władz, nic dziwnego, że między nimi panuje harmonia i zgoda! Mamy także i wybornego skrzypka p. Brajera.

Długą byłaby lista wszystkich amatorek, poświęcających się muzyce. Wymienię więc tylko najcelniejsze, którym słusznie należy się już miano artystek. W dziedzinie fortepianu króluje bez zaprzeczenia panna Marya Jokiszówna, uczennica Pollaka i Melcera, dalej pani Ottawowa, panna Moraczewska i wiele innych. Śpiew posiada także liczne i utalentowane adeptki; w tym dziale palma pierwszeństwa należy się, zdaniem znawców pannie Maryi Lange, której śliczny głos czaruje niestety zbyt rzadko wszystkich, co mają szczęście ją słyszeć. Również hrabianka Pelagia Skarbkówna, córka kuratora fundacyi, włada pięknym głosem, wykształconym w szkole medyolańskiej.

Trzeba koniecznie wspomnieć tu jeszcze o jednej amatorce, najwyższej talentem, ale ta niestety umilkła i tylko bardzo rzadko, wyjątkowo daje się słyszeć. Jest nią pani Grzegorzowa Ziembicka żona znanego lekarza i profesora Ziembickiego, której przepyszny głos i metoda budziły zachwyt najsurowszych sędziów. Pamiętam jeszcze dziś jak przed laty śpiewała u siebie z p. Kochańską duet z *Requiem* Verdiego; było to coś cudnego i rzeczywiście wstrząsającego.

Jak zatem widzicie, możnaby z łatwością urządzić u nas wspaniały koncert amatorski, którego pozazdrościłaby nam mogła niejedna europejska stolica.

ROZMAITOŚCI.

Kolorowe fotografie. Chemii zawdzięczamy nowy sposób otrzymywania fotografij kolorowych, w gruncie rzeczy nader prosty i przystępny nawet dla amatorów, posiadających pewną wprawę. Manipulacya i zasady fizyczne, na których ów sposób się opiera, są następujące:

Przedewszystkiem używać należy klisz t. zw. ortochromatycznych. Są one cokolwiek mniej czułe od zwyczajnych — postępuje się z niemi, jak z temi ostatniemi.

Dla dokonania zdjęcia umieszczamy pomiędzy przedmiotem, a objektywem aparatu, ekrany barwne, które nam pozwalają otrzymać kolejno trzy klisze: żółtą, niebieską i czerwoną.

Z tych negatywów możemy następnie zrobić trzy pozytywy (kopje): żółtą, niebieską i czerwoną. Ponieważ powyższe barwy są zasadniczemi, przeto nałożywszy kopie przezroczyste jedne nad drugą, otrzymujemy syntezę barw, zanalizowanych przez klisze, wyrażające się zaś po prostu — ujrzymy się w posiadaniu odbitki, wyobrażającej w naturalnych barwach fotografowany przedmiot.

O przygotowywaniu klisz ortochromatycznych nie ma się co rozpisywać, gdyż znajdują się w handlu i każdy dostanie ich bez trudności. Są one wyczulane specyalnie na promienie żółte, czerwone i niebieskie, przez dodanie do żelatyny odpowiednich barwników.

Ekran żółty dla promieni niebieskich, niebieski albo fioletowy dla żółtych, zielony dla czerwonych, czynią analizę zasadniczych barw dokładniejszą. W żadnym razie nie można się obyć bez ekranu niebieskiego lub fioletowego.

Fotograf drogą doświadczenia dojdzie do najlepszego określenia czasu, niezbędnego do ekspozycyi kliszy, wywoływać należy jednak w tej samej kąpieli wszystkie trzy klisze, aby im nadać jednakową ostrość.

Wykonanie i układanie jednej na drugą kopii z negatywu stanowi tutaj prawdziwą trudność, gdyż czynność ta różni się od zwykłych manipulacyj tego rodzaju. Że można po pewnem doświadczeniu otrzymać bardzo piękne odbitki, dowiódł tego p. Dugardin, którego pracą zachwycali się niedawno członkowie akademii paryskiej.

Sposób p. Dugardina jest następujący:

W litrze wody ciepłej rozpuszczamy 100 gm. żelatyny, dodając do roztworu 1—2 gm. karminu. Gorącą jeszcze mieszaninę pokrywamy karteczką papieru zwilżonego i przylepionego gładko na tafelce szkła. Tak samo zupełnie przygotowujemy płytkę żółtą, nalewając żółtej farby chromowej zamiast karminu, a na ostatku niebieską (1—2 gm. indyga). Owe płytki żelatynowo-papierowe czynimy wrażliwemi na światło przez pogrążenie ich w zimnym roztworze dwuchromianu potasu, poczem kopiujemy z odpowiednich klisz.

Części chromowanej żelatyny, wystawione na działanie światła, stają się nierozpuszczalnemi w wodzie, po wyświetleniu więc wywołujemy pozytywy przez zanurzenia ich w tym płynie. Niezmienione części odejdą z papieru i w ten sposób na papierze pozostaje obraz.

Do skopiowaniu taflę żółtą umieszczamy w ciepłej wodzie żelatyną do góry i przykładamy arkusik papieru mocnego, do którego przylega warstewka żelatyny i po wysuszeniu tego papieru kładziemy go znowu do wody ciepłej, równocześnie zaś pogrążamy taflę niebieską w kąpieli ogrzewanej na parze, a zawierającej 200 gm. żelatyny i 100 gm. gumy arabskiej na litr wody.

Płytkę niebieską umieszczamy na odbitce żółtej, starając się dobrze dopasować, w czem zresztą nie spotkamy trudności, bo żelatynowe powierzchnie są śliskie. Po wysuszeniu niebieska warstwa żelatyny przylepia się do warstwy żółtej.

Tę samą operacyę powtarzamy z tafelką czerwoną i w końcu otrzymujemy fotografię w naturalnych barwach, gdyż trzy kolory zasadnicze jedne na drugich nałożone, odtwarzają doskonale rzeczywisty koloryt.

Postępowanie to w opisie wygląda trochę żmudne, ale to nie powinno nikogo zniechęcać. Amator będzie sowicie wynagrodzony za swe trudy, ujrzawszy się w posiadaniu barwnej fotografii i wielu kolegów niezawodnie mu pozazdrości.

Niedawne obyczaje angielskie. Znaną jest rzeczą, że w pierwszej ćwierci bieżącego wieku, a nawet jeszcze za panowania królowy Wiktoryi upadek moralny społeczeństwa angielskiego był znaczny. Obecnie wyszła w Londynie książka będąca rodzajem pamiętników bezimiennego autora, która zawiera mnóstwo opowieści, świadczących o niskim poziomie obyczajów u wyspiarzy brytańskich na początku naszego stulecia. Książka nosi tytuł: „Collections and Recollections". Przed kilkudziesięciu laty — powiada autor książki — w Anglii zły przykład szedł z góry. Książę Walii n. p. jak zapewnia lord Seymour, oświadczył raz na zgromadzeniu publicznem „iż nie ma ani jednej uczciwej kobiety w Londynie, z wyjątkiem lady Parker i lady Westmoreland, te zaś są tak głupie, że poprostu gadać z niemi niepodobna". Ten sam książę wskutek zakładu znalazł się w mieszkaniu pani Vaneck, damy bywającej u dworu, kazał rozciągnąć niewiastę swym lokajom i... własnoręcznie oćwiczył ją szpicrutą. Pamiętniki ówczesne nazywają to „żartem".

Obyczaje na dworze angielskim pozostawiały dużo do życzenia. „Na Boga! — zawołała raz księżna Bedford do lokaja, stojącego za jej krzesłem — kiedyż przestaniesz się wycierać o moje plecy?" — panna de Berry zaś głośno klęła czajnik, który parzył jej palce. Książę Jorku na zebraniu u królowej w roku 1818 pochwycił kości z zielonego stolika, złorzecząc partnerom, że grają kośćmi podrabianemi, pomiędzy partnerami zaś nie było ani jednego, któryby nie nosił tytułu lordowskiego.

Nie obwijano słów w bawełnę, o czem świadczy protokół z posiedzenia rady ministrów, omawiających wyprawę do Birmanu, w celu zdobycia Rangoonu. Na dowodzącego zaproponowano Wellingtona. Wezwany jenerał przybył na posiedzenie rady i na propozycyę odpowiedział:

— Poślijcie lorda Combermere.

— Ależ — brzmi dosłownie ustęp z protokołu — mniemaliśmy, że pan masz lorda Combermere za głupca.

— Oczywiście — odrzekł Wellington — jest to głupiec, wielki nawet głupiec, co mu nie przeszkadza jednak jechać do Birmanu i wziąć Rangoon.

Na zgromadzeniu wyborczem w Jorkshire Pitt, wielki Pitt zawiadomił, że kontrkandydat nie przybędzie na posiedzenie.

— Co się stało?

— Spił się jak bela. Różni się tem tylko od wieprza, że nie gustuje w żołędziach.

Wogóle stosunki angielskie w pierwszych latach bieżącego wieku nie należały do przerafinowanie cywilizowanych. Za kradzieże w r. 1801 skazano na śmierć około 120 osób, w tem jedną kobietę za przywłaszczenie sobie 5 szylingów. Fałszerzy monet palono na stosie, w Exeter zaś jakiś nieborak przesiedział 45 lat w więzieniu z powodu niezapłacenia długu, wynoszącego 100 funtów szterlingów. Rozbójnictwo kwitło u wrót pałacu królewskiego, a pomiędzy rozbójnikami widziano zbankrutowanych lordów merów Londynu, jednego z lordów Abecornów, podupadłych kupców milionerów, a nawet jednego... prałata.

Lafayette i Amerykanie. W d. 4 lipca r. 1900 odsłonięty ma być w Paryżu z okazyi wystawy wszechświatowej, wspaniały pomnik Lafayette'a, którego koszt wyniesie około 250.000 dolarów. Posąg ten ma być niejako podzięką Amerykanów za fenomenalną statuę Wolności, którą Francya posłała swego czasu Stanom Zjednoczonym, a która zdobi port nowojorski. Fundusz potrzebny na pomnik Lafayette'a ma być zebrany ze składek uczniów szkół publicznych, a każde dziecko ma dać przeciętnie tylko 1 lub półtora centa. W Stanach Zjednoczonych żyje dotąd pamięć zasług, jakie Lafayette położył w amerykańskiej wojnie o niepodległość, a na znak niewygasłej wdzięczności narodu dzień 19 października ma być z zarządzenia prezydenta Mac Kinley'a obchodzony na przyszłość we wszystkich szkołach, jako dzień „Lafayette'a". Jestto rocznica poddania się generała angielskiego Cornvallis'a Amerykanom. To poddanie się zdecydowało o zwycięstwie, a Lafayette wraz z oddziałem francuskim najbardziej się do niego przyczynił.

Kalendarz.

W niedzielę dnia 9 października br.: Wincentego Kadłubka.

W poniedziałek dnia 10 października br. Franciszka.

We wtorek dnia 11 października br. Placydy M.

Wschód słońca o godz. 6 min. 17, zachód o godz. 5 min. 16.